

PORT VILA – AUSTRALIA: 2400 MIL MORSKICH

Dzień pierwszy, 9 sierpnia

Wiatr jest bardzo słaby. Próbuje złapać w żagle każdy jego powiew, jednak prędkość *Guppy* nie przekracza w tej chwili dwóch i pół węzła. Poza tym pogoda jest wspaniała, mogę spokojnie poczytać, choć bez przerwy próbuję znaleźć najlepsze ustawienie żagli, aby popłynąć tak szybko, jak tylko się da na tym morskim ślimaku. Jestem żeglarzem i nie przestanę się starać, aby najpowolniejszym środkiem transportu na świecie osiągnąć jak największą prędkość. Wiatr wyciągnął już chyba jednak swojego ostatniego asa z rękawa, a to oznacza, że czeka mnie noc z turkotaniem silnika w tle. Z drugiej strony ma to tę zaletę, że dzięki wystarczającej ilości prądu będę mogła włączyć elektryczny autopilot. Przy tak słabym wietrze samoster wiatrowy kiepsko działa i sama muszę często stawać za sterem. Dopóki jednak żagle nie wpadają w łopot, pozwalam *Guppy* spokojnie bujać się na falach.

W Port Vila załatwiłam ostatnie formalności, bo mogę korzystać z Sail-Mail – systemu komunikacji do wysyłania i odbierania e-maili przy pomocy radia SSB. Wczoraj wysłałam w ten sposób do taty treść wpisu na blog, który tata ma umieścić na stronie internetowej. Muszę jeszcze przywyknąć do tego, że mogę korzystać z internetu na morzu. To o wiele łatwiejsze i lepsze niż wysyłanie SMS-ów. Niestety potem okazuje się, że tekst nie doszedł. Hmm... zapewne nie jestem jeszcze oficjalnie zarejestrowana, a to znaczy, że wszystko muszę jeszcze raz wysłać SMS-em przez telefon satelitarny.

Cudownie znowu znaleźć się na morzu. W mojej głowie powoli robi się spokojniej, choć co jakiś czas przelatują przez nią urywki myśli. To długa przeprawa, wystarczy mi więc godzin, aby wszystko sobie przemyśleć, zanim dopłynę do Darwin. Zapowiada się piękny dzień. Lubię odczytywać znaki natury, starając się przewidzieć, co przyniesie. Często mi się to udaje, choć natura bywa oczywiście kapryśna.

Skończyłam czytać *Długą drogę* i po raz kolejny sięgnęłam na półkę po *Maiden Voyage* Tanii Aebi. Znam ją już na pamięć, ale jest świetnie napisana i znajduję w niej wiele z własnych odczuć. Oczywiście są pewne różnice: ona ma fantastyczny styl pisania, a ja nie; mój jacht jest dużo większy, wyposażony w GPS, radar i działający silnik... Ona przed laty

opłynęła samotnie świat dookoła i już od dawna jest w domu – mój dom jest zaś daleko i nie wiem, co mnie jeszcze czeka. Przyszłość pokaże.

Słońce zanurza się w wodzie niby wielka ognista kula. Ogień gaśnie i powoli zapada zmierzch. Holenderska flaga na *Guppy* zwisa prosto w dół, a jej dni są policzone... Przełączam ploter na tryb nocny, włączam światło silnikowe i cieszę się otaczającą mnie pustką. Wciąż wieje zbyt słaby wiatr, aby można było żeglować, ale takie spokojne kołysanie jest w porządku. No i wreszcie działa SailMail! Mogę teraz wysyłać i odbierać e-maile i nie muszę już przysyłać blogu SMS-em. Co za luksus, że mogę go wreszcie pisać na komputerze!

Dzień drugi, 10 sierpnia

Gdy się budzę, wieje lekka bryza, która jednak po wschodzie słońca cichnie. Można od tego zwariować! Od chwili wypłynięcia z Port Vila prawie nie miałam wiatru. I tylko ta ciągła zabawa z żaglami: stawianie genui, zwijanie jej i rozwijanie, stawianie spinakera, a potem znowu *code 0*, zakładanie refu na grot, żeby zapobiec łopotowi, zdejmowanie refu, włączanie silnika, wyłączanie... I to wszystko przy średniej prędkości nie większej niż dwa i pół węzła!

W razie potrzeby *Guppy* jest w stanie podczas flauty przepłynąć na małym silniku do 1000 mil. Żeglowanie jest jednak dużo szybsze, a ja nie znoszę turkotu silnika i mam do przepłynięcia dwa razy dłuższy dystans. No cóż, wiatr na pewno się kiedyś zerwie. Zaletą tej sytuacji jest sła biutki rozkołys dzięki czemu w nocy mogę zwyczajnie leżeć w łóżku i nie muszę się zaklinowywać między ściankami, aby mną nie rzucało we wszystkie strony. Postanawiam w końcu włączyć silnik, żeby łopot nie uszkodził jeszcze bardziej żagli. Ponieważ teraz nie muszę już bez przerwy się nimi zajmować, pogrywam trochę na gitarze, zarówno starej, jak i nowej, dwunastostrunowej. Oprócz tego dużo czytam, wykonuję przeróżne drobne prace i dokonuję napraw. I tak podczas dzisiejszej dokładnej kontroli steru odkryłam pęknięcie w obudowie łożyska przy kole sterowym...

Wieczorem oglądam na laptopie kilka odcinków serialu pt. *Jak poznałem waszą matkę*. W podobnych chwilach zapominam, że znajduję się na środku oceanu i że oprócz ptaszora i dwóch mew – *Guppy* serdecznie dziękuje za upapranie jej odchodami – od wielu dni nie spotkałam ani jednej żywej duszy.

Dużo rozmyślałam o dalszym rejsie z Darwin. Zdecydowałam, że chcę opłynąć Przylądek Dobrej Nadziei i zakończyć podróż na Sint Maarten. Zarówno na Oceanie Indyjskim, jak i Atlantyckim mogę zatrzymać się w kilku miejscach. A jednak ciągnie mnie, aby przepłynąć cały dystans bez przerwy, mimo że po drodze leżą wyspy, które warto odwiedzić.

Rozmawiam przez chwilę z Henkiem z *Sogno d'Oro*, który znajduje się 340 mil przede mną. Wiatr mu sprzyja i dobrze mu się płynie. I dla mnie zawieje kiedyś wiatr! Według prognozy pogody powinno się tak stać za około dwadzieścia cztery godziny. Ale zanim to nastąpi... Cierpliwości, Lauro, cierpliwości!

Dzień trzeci, 11 sierpnia

Czas szybko płynie. Jest już 11 sierpnia. Znowu odwiedza mnie ptak. Nie może się oczywiście oprzeć pokusie, aby zostawić mi swoją wizytówkę. Upadł już cały fordek i grot, a teraz przysiadł na czubku bezanmasztu, z którego obrabia cały achterdek. Na szczęście bimini sprawia, że przynajmniej kokpit, w którym spędzam największą część dnia, pozostaje czysty.

Nareszcie nadciągnął lekki wiatr i *Guppy* płynie znowu z prędkością trzech i pół węzła pod żaglami. Wymyśliłam nowy sposób, aby zapobiec obcieraniu szotu genui przez bom spinakera. Owijam wokół niego kawałek materiału i przyklejam taśmą, *et voilà!* Ponieważ potrzebne mi są do tego obie ręce, taśmę trzymam w zębach. Przykleja mi się ona do wargi i trochę za mocno pociągam... W zasadzie nic takiego by się nie stało, gdyby w tym momencie nie zmoczyła mnie słona fala. Cholera, ale piecze!

Prędkość *Guppy* stopniowo spada do trzech węzłów, a nad jachtem krąży teraz cała chmara ptaków. Sio, wstrętne stworzenia, znajdźcie sobie inne miejsce do lądowania!

Martwię się trochę o koło sterowe, dziwnie się buja i jest obluzowane, ale na szczęście *Guppy* jest wyposażona również w rumpel, którym dobrze się steruje. Jeśli jednak koło się zaklinuje, zablokuje się też ster. Może odłączyć sterociągi i sterować *Guppy* przy pomocy rumpla? Na szczęście samoster wiatrowy podłączony jest bezpośrednio do rumpla, a więc koło sterowe nie ma dużego znaczenia.

Dzisiejszy dzień jest ładny i ciepły, ale kiedy te ptaszyska sobie wreszcie polecą? Dopiero gdy słońce zniża się nad horyzontem, postanawiają

wreszcie poszukać innego miejsca, pozostawiając *Guppy* upačkaną dodatkową warstwą odchodów. Trochę wieje, za mało, żeby włączyć samoster wiatrowy, ale wystarczająco mocno, aby nie zrzucić żagli. Pojawiło się też więcej chmur. Czy to znaczy, że jutro będzie wiał silniejszy wiatr? Do tej pory *Guppy* nie doganiała zbyt szybko *Sogno d'Oro* Henka, a ja nie mam ochoty obliczać przebytego dystansu. I bez tego mogę się domyślić, że jest zatrważająco niewielki...

Wciąż mam sporo pracy z oczyszczaniem pokładu z ptasich kup i szukaniem rozwiązania problemu z kołem sterowym. Przypuszczam, że w wyniku korozji pękło łożysko obejmujące oś koła. Próbuję to jakoś naprawić i wygląda na to, że mi się udaje. To jednak bardzo prowizoryczne rozwiązanie. Innym problemem jest lik dolny genui, który stopniowo niszczą promienie UV. Coraz więcej w nim drobnych pęknięć, które staram się cerować i zaklejać taśmą.

Tymczasem notuję wszystkie współrzędne cieszącej się złą sławą Cieśniny Torresa. Nigdy nie wiadomo, na co się mogą przydać. Cieśnina Torresa leży pomiędzy Australią a Papuą Nową Gwineą, oddzielając Pacyfik od Oceanu Indyjskiego. To w zasadzie kraniec sławnej Wielkiej Rify Koralowej. Typowe dla raf jest to, że ich nie widać i że po wplynięciu na nie statek tonie. Podsumowując: będę musiała uważać i przez dwie doby prawdopodobnie nie zmrużę oka. Nie tylko ze względu na rify, ale również dlatego, że Cieśnina Torresa to ruchliwa trasa żeglugaowa, na której spodziewam się licznych statków handlowych.

Im dłużej studiuję mapy, na których widnieją rify, wysepki i liczne prądy morskie, tym bardziej zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, że to trudny obszar do żeglugi. Będzie on dla mnie wyzwaniem, myślę jednak, że przy względnej pogodzie powinnam sobie poradzić. Aby tam dotrzeć, muszę przepłynąć jeszcze 1300 mil.

Dzień czwarty, 12 sierpnia

Przez całą noc czekam na wiatr, który nie nadchodzi, aż w końcu muszę włączyć silnik, ponieważ *Guppy* stała się niesterowna. Nad ranem wiatr się jednak nasila i osiągamy prędkość czterech, a nawet pięciu węzłów. Jest pochmurno, ale to bardzo dziwne chmury, nie mam pojęcia, co oznaczają: wyglądają jak baranki i wiszą bardzo nisko, otulając mnie jak kołderka. Czy nadciągnie silniejszy wiatr? Nie. Wieje trzy węzły prosto od rufy.

Włączam radio SSB i gawędzę z moimi towarzyszami doli i niedoli. Większość znajomych znajduje się wciąż w Polinezji Francuskiej albo na Tonga. Najbliższym jachtem jest *Sogno d'Oro*, który płynie 260 mil przede mną, zostawiając mnie coraz bardziej za sobą. Wiatr mu sprzyja, dlatego Henk płynie z prędkością pięciu węzłów.

Cholera, dlaczego ten wiatr wciąż chowa się za horyzontem? Czy jeszcze mi się przydarzy podczas tego przejścia, że *Guppy* popłynie sześć węzłów i przed końcem sierpnia dopłyniemy do Darwin? Krzyki, rozmowy, błagania – nic nie pomaga. Do celu zostało jeszcze 1875 mil. Pip, pip! Dostaję SMS-a od taty, że za sześć godzin powinnam mieć trochę wiatru. Bardzo mi współczuje i przegląda wszystkie mapy pogodowe, jakie tylko może znaleźć, aby dostarczyć mi najnowszych informacji. Sama jednak widziałam na mapach, że udało mi się trafić na jedyny bezwietrzny obszar pomiędzy Vanuatu a Cieśniną Torresa... Przez cały dzień zachodni horyzont jest mroczny i obserwuję tam trzy ogromne chmury deszczowe. Z nich szkwał potrafi spaść na ciebie w ciągu kilku minut z prędkością trzydziestu pięciu węzłów. Zanim tak się stanie, chcę zdążyć zmniejszyć powierzchnię żagli!

Dzień piąty, 13 sierpnia

Wiatr ukrył się za chmurami! Nagle zaczynają się przemieszczać. Błyskawicznie zrzucam bezan, zwijam genuę i płynę dalej pod grotem i sztormfokiem. Jeden za drugim szkwały przechodzą nade mną i trwa to do drugiej w nocy, przy kapryśnym wietrze, który co chwila zmienia kierunek, a w pewnej chwili niemal cichnie. Ponownie stawiam bezan, rozwijam genuę, pogoda się poprawia. *Guppy* trzyma kurs dzięki samosterowi wiatrowemu, a mnie udaje się przespać kilka godzin. Przed świtem wieje korzystny wiatr i *Guppy* mknie do przodu z prędkością siedmiu węzłów. Kawałki taśmy, którymi sklejałam dolny brzeg genui, wiszą teraz jak chorągiewki na olinowaniu.

Niebo jest pochmurne, zrobiło się też chłodniej, ale tak bardzo się cieszę z wiatru! Po południu wychodzi nawet słońce. Coraz bardziej martwię się o genuę. Powstało w niej nowe pęknięcie, które wciąż się powiększa. Proszę, genuo, wytrzymaj jeszcze te 1800 mil!

Początek Cieśniny Torresa oddalony jest o niecałe 1000 mil, wygląda jednak na to, że dopłynę tam przy słabym świetle księżyca. To uciążliwe,

bo gdy nie świeci księżyc, na morzu bywa tak ciemno, że z kokpitu nie widać nawet dziobu *Guppy*.

Dzień szósty, 14 sierpnia

Silny wiatr nieprzerwanie wieje ukośnie od rufy. Zastanawiam się, czy wystawić genuę na nawietrznej. Fale są dość silne i tworzą nieprzyjemne krzyżujące się morze⁷¹. *Guppy* surfuje od czasu do czasu w dół fali, co daje piękny widok.

Po zjedzeniu śniadania złożonego z płatków kukurydzianych czytam w mesie, gdy nagle słyszę zbliżający się, ogłuszający huk. W tej samej chwili *Guppy* przewraca się z dużą siłą na bok! Przelatuję przez kabinę i ląduję twardo na szafce z książkami od strony zawietrznej. Słyszę, jak genua z hukiem przemieszcza się na drugą stronę, a kokpit wypełnia się wodą. Gdy z trudem się podnoszę i wybiegam z kabiny, widzę, jak z pokładu odpływają leżące tam wcześniej przedmioty. Próbuję sobie przypomnieć, co tam było: ręcznik kąpielowy, mój ulubiony kubek, śrubokręt i prawdopodobnie jeszcze wiele innych rzeczy, które teraz są w drodze do Neptuna. Mam nadzieję, że się z nich ucieszy...

Samoster wiatrowy szybko odzyskuje kontrolę i *Guppy* płynie dalej, jak gdyby nic się nie stało. Z kokpitu powoli spływa woda, a ja zastanawiam się, co spowodowało tę olbrzymią falę. Czy to przedsmak tego, co mnie wkrótce czeka? Zaczynam się obawiać Cieśniny Torresa. Dwa oceany, które spotykają się w miejscu nie głębszym niż dwadzieścia metrów! Niedługo nie wolno mi będzie zasnąć przez czterdzieści osiem godzin, ponieważ będę musiała ominąć mnóstwo raf i wysepek, wśród których występują silne prądy. Z drugiej strony to dla mnie wyzwanie. Przeplływając przez Cieśninę Torresa, zostawię za sobą Ocean Spokojny i zakończę istotny rozdział mojej podróży.

Po rozmyślaniach na temat Cieśniny Torresa włączam radio SSB i niespodziewanie słyszę *Kiwi* – statek, który spotkałam w pobliżu Tahiti i Tonga. Niestety połączenie jest tak kiepskie, że nasza rozmowa nie wychodzi poza „cześć” i „do usłyszenia”. Mnóstwo znajomych nie może

71 Krzyżujące się morze – zjawisko polegające na tym, że dwa rodzaje fal wywoływanych przez wiatr poruszają się nierównoległe pod różnym kątem (przyp. red.).

się w ogóle połączyć z powodu zakłóceń atmosferycznych. Jutro spróbuję jeszcze raz.

Zapada zmierzch, a ja przygotowuję na kolację zupę ze spaghetti i chlebem – jest zaskakująco smaczna. Przy włączonej muzyce siadam na stoliku nawigacyjnym i zapieram się nogami o zejściówkę⁷². Przez chwilę przyglądam się chmurkom pary, które unosząc się nad miniaturowymi chlebowymi wysepkami na brązowym morzu zupy, osiadają na łyżce. Biorąc pierwszą do ust, parzę sobie język.

Dzisiaj nie miałam na nic ochoty, teraz jestem jednak dużo weselsza. Wszystko idzie dobrze, *Guppy* niemal szybuje w powietrzu. Wciąż płynie z prędkością ponad siedmiu węzłów, przez co bardzo szybko zbliżamy się do Cieśniny Torresa. Ciągłe mam mieszane uczucia na myśl o tym miejscu. Zostawiam za sobą piękny, lazurowy Pacyfik oraz spory odcinek mojej podróży, a rozpoczynam jej nowy etap. Po wszystkim, co przeczytałam, bardzo jestem ciekawa, co mnie tam czeka. Do pierwszych raf zostało jeszcze 700 mil, więc przez kilka dni mogę puścić wodze fantazji.

Dzień siódmy, 15 sierpnia

W e-mailu od taty czytam, że jest weekend. Na *Guppy* się tego nie zauważa. To cud, że wiem, iż dzisiaj jest poniedziałek. Mamy dziś piękny dzień z dużą ilością słońca, błękitnym niebem i przyjemną temperaturą wynoszącą 28 stopni. Utrzymują się silne, krzyżujące się fale, *Guppy* to jednak nie przeszkadza, przecina je na pół i pędzi radośnie z prędkością siedmiu węzłów. Mija nas statek. Im bardziej będę się zbliżał do Cieśniny Torresa, tym większy będzie ruch.

Akumulatory coraz bardziej się wyładowują, niestety wciąż nie mogę znaleźć przyczyny. Czy włączone jest urządzenie, które czerpie dużo prądu? Sprawdzam wszystko włącznie z lodówką, w której znajduję zapomniany ogórek, a raczej to, co po nim pozostało... Pożerając energię lodówkę wyłączam zawsze natychmiast po wypłynięciu z portu, ponieważ *Guppy* potrzebny jest prąd do aparatury nawigacyjnej.

Wymieniam linkę sterowniczą steru wiatrowego, która przechodzi przez zbyt mały bloczek, i wspinam się na maszt, aby zrobić zdjęcia. Odkrywam tam, że skrzydlaty gość zostawił po sobie jeszcze więcej

72 Zejściówka – schodki prowadzące z kokpitu do wnętrza jachtu (przyp. red.).

nieczystości. Ptaszysko powalało grubą warstwą odchodów całą powierzchnię paneli słonecznych! Czekam na pilną robotę, bo zabrudzone panele prawie nie generują prądu, który jest niezbędny do pracy radaru i świateł nawigacyjnych. Balansując na relingu, ledwo dosięgam paneli i czyszczę je centymetr po centymetrze. W momencie, gdy kończę pracę, mija mnie duża boja. Boja?! Czyżby się od czegoś odczepiła? A może jest do niej przymocowana sieć, a ja przez nią przepłynęłam? *Guppy* pędzi jednak dalej przed siebie, a boja znika po kilku minutach za horyzontem.

Odbiór przez radio SSB jest znowu kiepski, po wielu próbach udało mi się jednak ściągnąć prognozę pogody. Na kolejne kilka dni przewiduje ona wiatr z południowego wschodu o prędkości osiemnastu do dwudziestu węzłów, a to wcale nieźle.

Złapałam przyjemny dzienny rytm i doskonale się czuję, mimo że nieco obawiam się Cieśniny Torresa po tym wszystkim, co o niej przeczytałam. Cieszę się jednak, że dołynę do Darwin, gdzie zatrzymam się mniej więcej na trzy tygodnie, bo spotkam się z tatą i Jillian. Tam będę obchodzić moje szesnaste urodziny i usłyszę nowinki z domu.

Dzień ósmy, 16 sierpnia

Echomax, mój aktywny reflektor radarowy, mruga bez przerwy, co oznacza, że w promieniu 30 mil znajdują się statki. Zachmurzenie jest duże, trochę kropi, na horyzoncie pojawia się więcej deszczowych chmur. Fale wciąż się krzyżują. Są olbrzymie, nadchodzą ze wszystkich kierunków, rzucając *Guppy* na wszystkie strony. Trudno mi cokolwiek zrobić na moim wymykającym się spod kontroli koniku bujanym... Czynności, które na lądzie są najprostsze, stają się na morzu wielkim wyzwaniem – przykładowo gotowanie, spożywanie posiłków, chodzenie do ubikacji i nawigacja. Na szczęście *Guppy* płynie naprawdę szybko, a to wynagradza niedogodności. Siedząc na koszu rufowym, z przyjemnością obserwuję, jak *Guppy* przewierca fale i za każdym razem strząsa z siebie kubły wody. Do Cieśniny Torresa pozostało 380 mil, szybko się do niej zbliżamy. Stopniowo wzmagają się fale. Znowu mija mnie duży statek, a na radarze dostrzegam kolejne trzy. Muszę uważać! Tymczasem prawie dogoniłam *Sogno d'Oro*, dystans pomiędzy nami zmniejszył się do 110 mil. Czy uda mi się go jednak prześcignąć, zanim dołyniemy do Cieśniny Torresa?

Dzień dziewiąty, 17 sierpnia

Noc mija zdecydowanie spokojniej, rano jednak bardzo powoli się rozwidnia. Czarne jak atrament chmury groźnie otoczyły *Guppy*... Przewidywany duży sztorm nie nadchodzi, za to dokuczają nam zmienne wiatry, powodowane przez sztormy znajdujące się w dalszej odległości. Z ich powodu genua przesuwana się z jednej burty na drugą, a ja męczę się ze spinakerem. Pogłaśniam muzykę i wykonuję taniec słońca na pokładzie. To pomaga! Powoli chmury znikają i wychodzi słońce. Wiatr tymczasem zmienił kierunek na mój „ulubiony” – prosto od rufy! Mimo to *Guppy* wciąż utrzymuje prędkość pięciu i pół węzła, nie mam więc na co narzekać. Chociaż przydałaby się choćby odrobinka deszczu, dzięki której mogłabym wziąć pierwszy od dwóch tygodni słodkowodny prysznic. Wszystko, dokładnie wszystko jest przesiąknięte solą!

Teraz naprawdę zbliżam się do szlaku żeglugowego i pierwszych raf w Cieśninie Torresa. Bardzo jestem ciekawa, jak tam będzie. Ponieważ wśród raf na niewielkiej głębokości spotykają się ze sobą dwa oceany, powstają bardzo silne prądy. Mam w każdym razie nadzieję, że po przepłynięciu raf zniknie krzyżujące się morze i nie powróci przynajmniej przez jakiś czas. Idąc na fordek w celu załatwienia kolejnych dziur w genui, rzucam po drodze z pokładu kilkadziesiąt ptaszorów.

Teraz, gdy w końcu świeci słońce, a panele produkują wystarczająco dużo energii, postanawiam naładować laptopa i ściągnąć przez SailMail wiadomości. Dostałam trzy, jedna z nich jest od mamy. Píše, że wkrótce wyjeżdża na wakacje na Gran Canaria, a według mnie cichcem planuje również przeprowadzkę. Podobnie jak moja siostra Kim i tata, ona także źle się czuje w Holandii i kusi ją, aby zmienić miejsce zamieszkania. Wygląda na to, że każdy z nas na swój sposób stara się stamtąd uciec: mama przeprowadzając się, a tata – budując nowy statek, *Havørn*. Według tego, co pisze, szybko mu to idzie. Podczas poprzedniego rejsu po świecie jego serce pozostało na Pacyfiku. Gdy tylko statek będzie gotowy, na pewno tam wyruszy. Czy powinnam wobec tego wracać do kraju, który tak paskudnie potraktował mnie i moich rodziców? Moje wątpliwości nasilają się szczególnie teraz, bo holenderskie władze wciąż starają się utrudnić mi życie. Prawdę mówiąc, nie mam jeszcze ochoty opuścić Pacyfiku. Smutno mi na myśl, że zostawiam ten piękny ocean, bo czuję się tutaj jak u siebie. Widać jednak światło w tunelu: jeśli nie przestanę płynąć w kierunku zachodnim, to w końcu znowu wpłynę

na Ocean Spokojny, a wtedy na pewno nie ominę Nowej Zelandii, kraju, w którym się urodziłam.

Dzień dziesiąty, 18 sierpnia

Kątem oka widzę kolejną latającą rybę, która zdecydowała się wskoczyć na pokład. Niektórzy żeglarze je jedzą. Z odrobiną soku z cytryny podobno nieźle smakują. Według mnie wcale nie wyglądają na smaczne. Poza tym większość ptaszorów, które znajduję, jest tak niewielkich rozmiarów, że byłyby z nich same ości.

Sogno d'Oro znajduje się zaledwie 22 mile przede mną, do toru wodnego i pierwszych raf pozostało 50 mil, a stamtąd jeszcze 100 mil, zanim wpłyniemy do Cieśniny Torresa liczącej 170 mil. W cieśninie też trzeba niezwykle uważać. Spoglądając na mapę, widzę więcej raf niż wody, która w dodatku usiana jest wrakami statków!

Wiatr powrócił na całego i *Guppy* galopuje przed siebie z prędkością siedmiu węzłów. Chociaż ciągle wieje od rufy, to z wypchniętą na bomie genuą dobrze się płynie. Dopóki mogę, staram się jak najwięcej spać i odpoczywać, bo przypuszczam, że przez kolejne dni nie będę miała na to czasu. Przeprawa odbywa się dużo szybciej, niż się spodziewałam.

Dzień jedenasty, 19 sierpnia

Światelko *Sogno d'Oro* jest coraz bliżej, zarysu jachtu jeszcze jednak nie widzę. Rozmawiamy przez radio VHF i życzymy sobie na zakończenie dobrej nocy. *Guppy* płynie ponad dwa węzły szybciej, więc nad ranem światelko znika z tyłu za horyzontem.

O godzinie 23.00 docieram do toru wodnego. Na szczęście jest tam zaledwie kilka statków, natomiast wiatr wciąż wieje prosto od rufy z prędkością ponad dwudziestu pięciu węzłów. Ze względu na coraz płytsze morze i coraz liczniejsze prądy fale robią się bardziej strome i nadchodzą ze wszystkich stron. Głębokość wynosi tutaj zaledwie siedemdziesiąt metrów zamiast trzech kilometrów, jak dotychczas – a będzie jeszcze bardziej płytko... *Bligh's Entrance*, wejście do Cieśniny Torresa, oddalone jest o 30 mil, a więc dotrę tam za dnia. Henk płynie znowu kilka mil za mną. Gdy patrzę przez lornetkę, wydaje mi się, że rozpoznaję jego zieloną łódkę.